

MASKI



RYSUNEK STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.

T R E Ś Ć Z E S Z Y T U P I Ę T N A S T E G O .

	Str.		Str.
1. ST. WYSPIAŃSKI: Witraż wawelski VIII.	281	5. FR. MIRANDOLA: Sztuczny żołnierz	288
2. LUD. EMINOWICZ: Przed bitwą	282	6. TAD. SZANTROCH: Poezye	294
3. KAZ. TETMAJER: Walka (c. d.)	284	7. PRZEGLĄD: K. Irzykowski: Projekt Akademi literackiej	295
4. Z POEZJI UKRAIŃSKIEJ (B. Lepki) — S. Twer- dochlib)	287	L. Bończa: Z zagadnień teatru (dokoń.)	297

Okładka rysunku St. Wyspiańskiego. — Dodatek ilustracyjny Kaz. Sichulskiego (Wład. Leop. Jaworski). Wewnątrz rysunki i reprodukcje z dzieł: Van Dongen'a, El Greco, H. Matisse'a, J. Mierzejewskiego, P. Picasso, Andr. Pronaszki, St. Wyspiańskiego i i.

„Maski“ wychodzą 1., 10., 20. w miesiącu.

Warunki prenumeraty:

Kwartalnie z przesyłką K 13.—

Półrocznie z przesyłką „ 24.—

Rocznie z przesyłką „ 43.—

Cena zeszytu pojedynczego K 1.50 — Ogłoszenia wedle umowy.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW, UL. WOLSKA 19.

W najbliższych zeszytach ogłoszą swe utwory:

W części literackiej: *Leo Belmont, Kazimierz Bereżyński* (z pośm. rękop.), *Leonard Bończa, Emil Breiter, Bogusław Butrymowicz, Leon Chwistek, Edmund Ciegiewicz, Tadeusz Dąbrowski, Ludwik Ęminowicz, Karol Irzykowski, Józef Jedlicz, Cezary Jellenta, Juliusz Kaden, Jan Kasprowicz, Franciszek Klein, Zbigniew Kleszczyński, Tadeusz Konczyński, Magdalena Kossakówna, Władysław Kozicki, Edward Ligocki, Stefan Łubiński, Franciszek Miranda, Tadeusz Nalepiński, Witold Noskowski, Stefan Nowiński, Władysław Orkan, Stanisław Przybyszewski, St. Wł. Reymont, Karol H. Roztorowski, Jan Rundbaken, Lucyan Rydel* (z pośm. rękop.), *Stanisław Serwin, Adam Siedlecki, Tadeusz Sinko, Tadeusz Szantoch, Leon Schiller, Artur Schröder, Jan Śliwiński, Józef Andrzej Teslar, Kazimierz Tetmajer, Ignacy Wasserberg, Władysław Witwicki, Stanisław Wyrzykowski, Antoni Wysocki, Stanisław Wyspiański* (z pośm. rękop.), *Gabryela Zapolska, Ęmil Zegadłowicz, Aleksander Zelwerowicz, Adam Znamirowski, Tadeusz Żeleński, Stefan Żeromski.*

W części ilustracyjnej: *Leon Czechowski, Tytus Czyżewski, Stanisław Dębicki, Adam Dobrodzicki, Karol Frycz, Iwo Gall, Leopold Gottlieb, Vlastimil Hoffman, J. Hrynkowski, Wojciech Jastrzębowski, Stanisław Kamocki, Jacek Mierzejewski, Ludwik Misky, Tymon Niesiołowski, Tadeusz Okoń, Bronisław Pelczarski, Andrzej Pronaszko, Zbigniew Pronaszko, Władysław Skoczyła, Kazimierz Sichulski, Zofia Stryjeńska, Wojciech Weiss.*

Kierownik literacki:

TADEUSZ ŚWIĄTEK

Kierownik artystyczny:

ZBIGNIEW PRONASZKO.

Rękopisów nieządanych nie zwraca się. — Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Redaktor odpowiedzialny: *Roman Czaplicki*

Odbito w drukarni Narodowej w Krakowie.

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · SATYRA

Wawruien Grochowski
25. V. 1918



ST. WYSPIAŃSKI

WITRAŻE WAWELSKIE: ZAWISZA CZARNY.

(Ze zbioru Włodzimierza Żuławskiego.)



EL GRECO

GRUPA LAOKOONA.

LUDWIK EMINOWICZ.

PRZED BITWĄ.

Z poematu »Waryacye«.

Stoję pod bronią, w zapasowym rzędzie,
a potem pójdę tam, w strzeleckie rowy,
i może zginę i serce nie będzie
czekać przyszłości, w której odgaduję
przecudny wybuch tworzącego szafu
mojej poezyi... — —

Głucho postukuje
rój karabinów maszynowych w dali,
a tu, w pobliżu, jakiś nurt pomału
nasuwa fale na nadbrzeżne piaski,
a każda fala rubinem się pali...

Ach zachód słońca? Jakże świetne blaski!!

Oto jest słońce złotem stające
w gromadzie chmur,
jak w chórze płaczków, co są milczące

i niemym ruchem stwarzają wtór... —
świeci za wodą, za smukłą jodłą,
przez fioletowe oddaleń mgły: —

Poezyo!!! Może to Ty?! —
Cóż cię przywiodło?

Wstałaś za nieboskłonem,
idziesz przez krwawe zorze,
idziesz, pożegnać może
na bój przed skonem...

Żegnać mnie? Ha!

Jawisz się gestem
w obłoków tle...

A jednak, nie!

Ty=ś tam, gdzie ja,
wszak Tobą jestem!...

Tak, tak, jesteśmy, nie jesteś poza mną...

Tyś moją zjawą w sercu wytężoną,
żywą, tętniącą, niekłamną...
Otom Cię rzucił tam, za własne łono,
halucynacją ukochaną, drogą...
Stajesz przede mną, jak żywa osoba...
Och, nerwy wiele mogą,
robią, co im się podoba
w chwili serdecznej biedy... — —

Pamiętam, kiedy
raz pierwszy w życiu,
przy tęten biciu,
gdy twórczy płomień tlił wewnętrzne ciemno
najrzewniej moja stanęłaś przede mną,
jako przy nocy staje wczesny dzionek...
Wziąłem=ć za rękę — znikłaś w jednej chwili —
spojrzałem bacznie, czy mnie sen nie myli:
w ręce mi został złocisty pierścionek.
Dałaś mi go w darze
Ty, a z Tobą w parze
Moja Ukochana
w zaręczyn dzień.
Niech miłość wasza będzie pochwalona,
pierścieniem waszym przestrzeń pozłacana
zwiera się kręgiem zawrotnych lśnień... —

Przyszłaś przed bitwą... — — Wstaje myśl
szalona:

kto z nas jest twórczą istotą jedyną —
ja? Ty, poezyo? czy też Ty, dziewczyno?
Niekiedy zmysły rozróżnić nie mogą,
kto jest, kto nie jest, kto żyje za kogo...
Tylko to złoto w chmurach, zew ognia
skrzydłaty

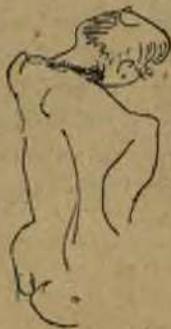
świeci, jak odbłask owego pierścienia,
któryście dały przed laty
a obiecały na progu istnienia... — —

Lecz, nie, poezyo, nie!
(Gromada chmur się gniew...) —
nie jestem Tobą, Ty nie jesteś mną...
Jedynie czasem, gdy mi nazbyt smutno,
gdy oczy walczą z mgłą
zwątpienia przeokrutną,
zakołysany żalobą,
milczeniem tłumiąc rany,
zwiduję sobie,
że jestem kimś, co bardzo zapoznany,
że jestem Tobą,
bo łączę w jedno dole nasze obie
i w poniżeniu czuję własne piękno,
przed którym kiedyś ludzie kornie kłękają.

Więc, oto wsparty na tym karabinie,
stojąc na straży
w zachodzie słońca, co się dumnie żarzy
w gromadzie chmur, nim przeraźliwie zginie,
myślałem sobie przed chwilą, przez chwilę,
że ona kula, co mnie ku mogile
rzuci, jak piołun, i Ciebie położy
w grób, przy poświęcie zorzy,
że jednym ciosem razem mnie i Ciebie
zagrzebie granat w tej tu polskiej glebie
i rozwiejemy się w nicość na zawsze,
w chwili, gdy słońce staje się najkrwawsze...

Lecz to szalona jakaś myśl — zaiste,
przeszła już z serca w te łuny ogniste.
Została tylko ta troska jedyna,
co pocznie moja kochana dziewczyna,
i co Ty zrobisz, poezyo kochana!...

— — — — —
Pierścieniem waszym przestrzeń wyzłacana...
— — — — —



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

6)

W A L K A

POWIEŚĆ.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Chwilami cała ucieczka wydawała jej się czemś niepodobnym do uwierzenia. Rzuciła się przed siebie istotnie bez pamięci. Powzięty wewnątrz plan zaczął płonąć jej w głowie, palić się, odurzył ją. Jej wola rozgorzała pośpiechem. Wybrała stronę, o której wiedziała, że jest na daleką przestrzeń pustą. Obawiała się natrafić na mieszkania ludzkie, zwłaszcza z końmi, ale pierwszymi ludźmi byli przewoźnicy promu, którzy nocowali w spokojnej zatoce. Nadjechała po miękkiej murawie cicho z rewolwerem gotowym, ale ci ludzie, zbudzeni nagle, przeleżeli się tylko, wzięli ją bowiem wraz z końmi za widmo. I teraz, sterując dłu-

giemi wiosłami, jeden z tyłu promu, drugi na przodzie, rzucali do siebie od czasu do czasu pomruk, w którym było przypuszczenie, że może fakir wszystkimogący ich omamił. Dopiero gdy konie poczęły jeść siano, a ona chleb z serem i czekoladą, uspokoił się co do tego.

Dokąd płynęła? W głąb rzeki. To była jedyna odpowiedź. Żyła dotąd w głąb życia, które stało, jak nieruchoma woda jeziora — — nagle puściła się z prądem. Co nastąpi: nie mogła sobie wyobrazić. Wydarła się z obcęgów w zaciętości i porywie.

Niemniej, gdy prom spływał z falami, przejmowały ją dreszcze, dreszcze niepokoju i lęku, które napadały na nią mimo oporu i odporu.

Lecz klamka była zamknięta — szeroka rzeka niosła ją. Mijała brzegi bujne i kwieciste z oddali, lub rosłe lasami biegnącymi wzdłuż brzegów i schodzącymi aż do wody. Mijała wysepki małe, zielone, lub kamieniste, z których przypatrywały się jej ptaki na wysokich nogach, lub zrywały się chmarami do lotu. Co czuła, to to, że jest opiekunką koni i że te konie jej ufają. To hartowało w niej energię. Wywiodła je, nie mogła im dać przepaść. Czasem wydawało jej się, że spoglądają ku niej jak dzieci.

Przyglądała się dwom Hindusom, którzy kierowali promem i którym obiecała zapłatę za opuszczenie stanowiska i puszczenie się z nią wzdłuż rzeki. Byli to ludzie młodzi, widocznie bardzo biedni, o sympatycznym wyrazie twarzy. Gdy na szeroko, na kształt jeziora rozlanej wodzie, siedli, aby się posilić, dała im po parę tabliczek czekolady, co ich ujęło i obie strony ośmieliło. Powiedziała im, że jest konnojeźdźczynią z wielkiego cyrku, że się popisowała prywatnie u maharadży i bogatych właścicieli ziemskich, a nawet wymieniła zamek Frangipani, o którym słyszeli; opowiedziała, że chcąc uniknąć kosztów i trudów kolei, a zwłaszcza znużenia transportem dla koni, postanowiłajechać, o ile się da, wolnym powietrzem. Oni się dziwili, że jedzie sama i bez rzeczy, a nawet obroku; opowiedziała, że jej służba okradła ją i opuściła w drodze. Oburzyli się. Ale to nie byli Hindusi? Nie, niebyli.

Pozwoliła im zbliżyć się do koni i poklepać je po łopatkach, oświadczywszy, że droższe jest jej życie i dobro jej koni, niż jej własne. Opowiedziała, że się nazywają Alfa, Beta, Gama, Delta. Zaczęli się śmiać, bo jednego ojciec, a drugiego brat nazywali się Gama. Jeden się spytał, czy to dlatego, drugi go mocno skarcił, że jest taki głupi. Dodała, że gdyby kto chciał krzywdę zrobić któremu z koni, toby zginął z jej ręki, a gdyby powiedział brzydkie słowo, toby dostał rajtpajezem. Pochylili głowy w milezącym posłuszeństwie. Przyszło jej do głowy, że możnaby w danym razie tych ludzi młodych, zdaje się bardzo ucziwych, silnych i zręcznych, wziąć do służby. Na propozycję przystali z radością, ślubując na wyprzódki wierność i posłuszeństwo. Woleli to, niż wracać, starać się o nowy prom, przewozić ludzi za lichą opła-

tą i tłómaczyć się w gminie, że ich woda podczas snu zniosła. Obaj byli muzułmanami: jeden nazywał się Ali, drugi Jussuf.

Tymczasem na brzegach poczęły się ukazywać wioski. Niedługo prawdopodobnie żegluga promem stanie się niemożliwą. Trzeba było wyładować i „rozpocząć awanturę“. Postanowiła, że będzie uchodzić za okradzioną konnojeźdźczynię z cyrku z dwoma przynajętymi ludźmi, postara się dostać do portu morskiego i ucieknie do Europy.

To było jednym z jej panięńskich marzeń. Była przecież Europejką z pochodzenia. Czytane ukradkiem przed ojcem, a zdobywane u angielskich guwernantek powieści ukazywały jej ten świat jako ziemię romansu, pełni życia, niekrepowania się w użyciu. Chciała dostać się tam i rzucić się w wir cywilizowanych wielkich miast europejskich, na wielkie salony, w wielki świat złota i klejnotów, któremi pulsowało gorące życie, podczas gdy to bogactwo, które dotąd widziała, martwe było i zimne. Wpaść tam powinna była jak meteor. Rysował jej się plan prosty: przybierze jakiegokolwiek nazwisko i ze swemi czterema końmi i dwoma Hindusami wstąpi do pierwszego spotkanego cyrku, gdyż to był najłatwiejszy sposób ukrycia się i „naturalnego wyglądu“, dobije się do morza i jako zagadkowa, tajemnicza amazonka cyrkowa pojawi się w Londynie, Paryżu, czy Petersburgu. Hrabianka Sodawasserburg, albo córka paszy, Fatima „la Bella“, jak babka, w ciemnogrnatowej amazonce z lamparcią skórą przez ramię i szmaragdową bransoletą. Co za zjawisko! Co za rozgwar naokoło, podziw, zajęcie się — — co za powodzenie... Co by to było? Takich koni i takiej amazonki nie widział świat... Żadne pismo sportowe, a miała wszystkie, nie wspominało o podobnej.

Tymczasem zabieliły się kamienice małego miasta, ukazały się łodzie i statki. Rozkazała skierować do brzegu i przybić przed miastem dosyć daleko, aby prom mógł zostać niezauważony. Mocny dreszcz niepokoju wstrząsnął nią całą. Dotąd był na pół sen, teraz zaczynała się rzeczywistość. Rzuciła wyzywająco głową i ruszyła z promu z końmi. Szła, prowadząc za uzdy Alfę i Betę, podczas gdy Hindusi prowadzili dalsze dwa konie, dotknawszy na poże-

gnanie dłonią promu i wiosła. Postanowiła udać się do hotelu ze stajnią i przede wszystkim dać koniom, czego potrzebowały.

Jej pochód zwrócił uwagę. Cyrk! Cyrk! — poczęto wołać głośno. Poczęto także przypatrywać się jej czelnie, taksować z trotuarów nie tylko jej konie, ale i ją samą. Kamienie brukowe piekły ją pod piętami. Zcieła wargi i patrzyła przed siebie. To prawo ludzi do niej było czemś wstrętne, ubliżającym i bezczelne. Byłaby śmignęła batem, który trzymała w ręce. Tłum, na który dotąd spoglądała niepatrzając z powozów, automobilów, czy wagonów kolejowych. Gniew ją brał, a z drugiej strony ogarniało nieznane jej dotąd uczucie bezsilności i bezwładzy. Policzki poczęły ją piec i usta poczęły mimo wysiłków drgać nerwowo. „Ulica“ towarzyszyła jej pełna gwaru i ruchu. Zabrakło jej głosu, aby zapytać o hotel. Wtem zbliżył się ku niej młodzieniec średniego wzrostu, z zakrzywionym nosem i małemi, czarnemi krótkimi faworytkami, w wielkiej panamie, i zapytał z grzecznym ukłonem złą angielszczyzną i osobliwym akcentem:

— Pani potrzebuje hotel?

— Tak — wysiliła. — Czy jest ze stajnią?

— Dlaczego niema być? — odpowiedział młodzieniec w panamie, puszczając się obok konia.

— Stajnia czysta?

— Dlaczego niema być czysta? Jest czysta.

— Na cztery konie?

Młodzieniec machnął lekceważąco laseczką, którą trzymał w ręce.

— Hi! I na pięć!

— Jakże się hotel nazywa?

— „Astoria“. Pani może spytać tego pana — wskazał ręką na policyanta. — On nie gryzie? — Nie.

Ujął delikatnie Betę za uzdę i pomógł prowadzić, krzycząc od czasu do czasu energicznie: Z drogi!... Kosztuje dziesięć tysięcy!... Z kim mam przyjemność? — zapytał po chwili.

Wzburzyła się w niej krew; już wyraz ostry, jak koniec bata, błysnął jej na wargach, ale niebyła już zapytaną czelnie milionerką; odpowiedziała więc:

— Chcę się zaangażować do cyrku.

— Ma pani impresaryo?

— Nie.

Młody człowiek w panamie pomyślał chwilę i oświadczył:

— W Hajderabad jest wielki cyrk. On nie długo wyjeżdża do Karatschi. Ja mogę uławić.

— A któż pan jesteś? Ajent?

— Ja mogę być i ajent. Trzeba nadać telegram z zapłaconą odpowiedzią. Właściciel cyrku nazywa się Godfred Scott. On odpowie zaraz. Proszę na prawo, jest hotel. Ja zatelegrafuję.

Wyjął portfel i z ukłonem wręczył jej bilet z napisem: Leopold Birnbaum
agent amerykański.

W dwie godziny później podano jej do łóżka depeszę na nazwisko „Leopolda Birnbauma, amerykańskiego impresaryja“, wzywającą ją do przyjazdu na próbę do cyrku.

Parsknęła śmiechem i wtuliła twarz w poduszkę.

...Czysty kinematograf, którego jest bohaterką....



RYS. J. MIERZEJEWSKI.

Z POEZJI UKRAIŃSKIEJ.

BOHDAN ŁEPKIJ.

1.
Kruku żalobny, z jakiej lecisz strony?
„Krew, krew, krew!” — Cicho! Już wiem,
[znam kraj ony.

O wichrze, czemu wyjesz tak skargą padol-
[ną?
„Szu, szu, szuu” — pst! mówić nie wolno.

Rzeko, czemu tak krwawe toczysz piany?
Cyt! Zgaduję już, wiem — ty płyniesz z ra-
[ny...

2.
Udercie w dzwon!
Udercie dusz potrzebą.
Słońce pożarem się pali,
Naród ginie, świat się wali,
Udercie skargą w niebo!

Niech widzi On,
Jak toniem na krwawej fali.
Jak oto, za krew i rany,
Nowe nam wdziano kajdany,
Bijcie w dzwon!...
— Niema. Zabrali.

3.
Błysk, huk — pół nieba rozgorzało,
Rozprysła się armatnia kula —
A tam hen w lesie, jak bywało,
Kuka zazula.
Krzyk, jęk — i cicho. Krew spłynęła
W bezdeń krwawego bólu-morza.
A nad polami znów stanęła
Wieczorna zorza.
Jakże tę ziemię w okrag zryły
Ogniste kule i granaty —
A już te jamy ozdobiły
Wesołe kwiaty.

4.
Widzisz, bracie mój, towarzyszu mój,
Siniejący na niebiosach żórawiowy wój?
Krzyczą: „Kru, kru, kru!” — Nie doleczą snu,
Zanim wody mórz przeleczą, zabraknie im
[tchu.

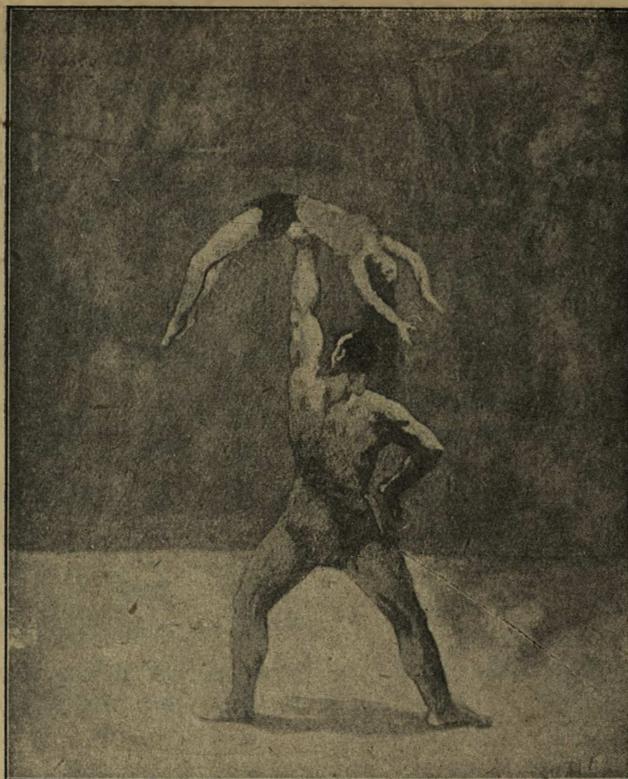
Rozpływa się w skrach podśloneczny szlak
I ślad ginie po żórawiach w siniejących
[mgłach.
Przełożył Wład. Orkan.

SYDIR TWERDOCHLIB.

LIST NIEWYSŁANY.

Mijają dni, tygodnie, miesiące i lata,
a ja wciąż czekam Twojego przybycia...
Czuję, wnet anioł śmierci w me drzwi za-
[kolata,
a Ciebie jeszcze niema, mój aniele życia —
Tak, że wątpię nareszcie, czy okiem zamglo-
[nem
ujrzę Cię kiedy, pani Marzona, przed sko-
[nem...
Pisywałem do Ciebie, — bliżej Ci niezna-
[ny, —
listy, o których nie wiesz, wiersze, co Ci za
[nic:
smęci się w nich tęsknoty gołąb — niewy-
[ślany —
albo może przedwcześnie spadły wśród
[krzesanic

obcych dachów, — na pastwę rozigranych
[dzieci, —
gdzie umęczony skona, ach! i nie doleci!...
A gdy już będzie leżał krwawy pośród drogi,
porzucony przez ludzi i przez psy — to bogi
zrządzą, że wtedy idąc tamtędy po kwiaty
na rośne łąki, ujrzysz zabitego ptaka,
pochylisz nad nim głowę, szepcąc: „Był
[skrzydlaty,
a przecież zginął — pewnie wpadł ten go-
[łab w sidła!...”
Potem końcami palców uniesiesz mu skrzy-
[dła
strzaskanego (ostrożnie, jakby było z ości)
i szukać będziesz listów: tych listów bez da-
co się je życiem oplaca... z miłości. [ty,



P. PICASSO

ATLECI.

FRANCISZEK ⁶³MIRANDOLA.

SZTUCZNY ŻOŁNIERZ.

Major von Mumpitz mierzył marsowem spojrzeniem szereg stojących przed nim żołnierzy.

— Jak się nazywasz? — Krzyknął na pierwszego skrajca.

— Protazy Kulas.

— Protas... Protes... merkwürdiger Name... Proteus Gulyasz! Zajęcie w cywilu?

— Pisarz sądowy... Grupa C! — dodał pośpiesznie.

— Ach ja... ja... no, also...

Zwrócił się do wachmistrza.

— Pisz pan... Proteus Gulyasz... zugeteilt zur Prothesenfabrik in Gross-Dumm-Dumm... Weiter!

Zwrócił się do następnego.

Protazego Kulasa oblał zimny pot. Ten nagły przydział na podstawie brzmienia jego imienia wprowadził go w osłupienie. Z natury lękliwy i oryentujący się z trudem w rzeczach tego świata, doznawał przy każdej zmianie losu zawrotu głowy, głupiał całkiem. Toteż nowa

sytuacja, w jakiej się znalazł, odebrała mu przytomność.

Nie wiedział co się z nim dzieje, nie słyszał nic. Popychano go, posuwano. Dał ze sobą robić wszystko.

Dopiero w wagonie przyszedł do siebie na tyle, że zaczął rozmyślać.

Sprawa nie przedstawiała się tak źle.

Miał przydział, był „zadekowany“. O fabryce protez wiedział tylko tyle, że robią tam ręce i nogi dla inwalidów.

Jechał w przepelnionym wagonie i pogryzał suchy komiśniak.

Nagle doznał olśnienia.

Omal, że nie wybuchnął głośnym śmiechem radości.

Fabryka... wybornie... zrządzenie Opatrzności... czyste zrządzenie Opatrzności...

Protazy Kulas, pisarz sądowy, nie był osobą zwykłą, ale skomplikowaną. Z wierzchu był pisarzem, w środku zaś genialnym wynalazcą.

Posiadał w domu całe stopy cenników przeróżnych fabryk, poczynawszy od narzędzi wiertniczych aż do aeroplanów. Całe noce spędzał nad tą lekturą, zasmarowując libry papieru, ściągniętego z kancelaryi sądowej.

Te noce spędzane na marzeniach nieziszczalnych, to był największy skarb Protazego Kulasa, skarb skrywany starannie przed kolegami, źródło szczęśliwości i uniesień, nieznanym innym zjadaczom pensyj biurowych. W tekach starannie uporządkowane spoczywały już rozliczne wynalazki: wiertarka elektryczna dla wiercenia za ropą, wóz mogący unieść z łatwością ogromne ciężary, szczudła z popędem elektrycznym dla przekraczania rzek, gór, przepaści, kula, która nie stawiała oporu powietrzu i mogła lecieć w nieskończoność, luneta astronomiczna, która nie sobie nie robiła z mgły, chmur, itp. przeszkód, aparat do obliczania odległości najdalszych gwiazd, aeroplan bez skrzydeł, bezpieczny wśród największej nawet burzy, jak zwykła dorożka, astroplan szybujący po przestrzeniach śródgwiezdnych, ponton płócienny do nadmuchiwania, lufa armatnia, lżejsza od cygara, a odporniejsza od stali itp. Wszystko to najdokładniej wyrysowane spoczywało w tekach w głębi olbrzymiego kufra w prywatnym mieszkaniu Kulasa w Mędzиковie.

On tymczasem służył w wojsku.

Służył spokojnie, cicho, biernie, czekając, rychło się ta zabawa skończy.

Codziennie kupował Kuryerka i czytywał pilnie wiadomości z prowincyi.

Szło mu o to, czy nie było przypadkiem w Mędzиковie pożaru, reszta go nie obchodziła wcale.

W tym nastroju ducha odprawował swą służbę, aż się doczekał początków suchot i grupy C.

Czuł się szczęśliwym, wpadał tylko w oglupienie, ilekroć wypadło zetknąć się z władzami. Było to dlań przejście okropne. Gdy minęło, Kulas zapadał napowrót w swój zwykły stan biernej szczęśliwości.

Jechał wagonem i dumiał nad zrządzeniem Opatrzności, która go oto wysyła do miasta Gross-Dumm-Dumm, do fabryki protez.

Rozważał, co on tam będzie robił, a im bar-

dziej rozmyślał, tem większa go ogarniała radość.

— Może mi się uda ściągnąć co potrzeba do modelu mego kociołka szybkowarka! — mruknął do siebie.

Miasto Gross-Dumm-Dumm, nie zaimponowało mu wcale.

Dowiedział się tylko, że leży w Czechach, niedaleko Przybramu, gdzie są ogromne stalownie i jeszcze.., że nazywa się całkiem inaczej po niemiecku, a inaczej po czesku. Ale to go nie zdziwiło. Wiedział przecież, że Saybusch znaczy tyle, co Żywiec, a Lemberg jest właściwie zwykłym Lwowem.

Gdy się znalazł w fabryce, stracił przytomność. Zgłupiał w pierwszej chwili z kretesem, jak to było zresztą jego obyczajem.

Miał wrażenie, że dostał kołem w łeb.

Otoczyło go piekło. Syczały motorowe tokarnie, wiły się węże giętkich osi przeróżnych małych i wielkich świrdrów, zionęły ogniem przyrządy do samorodnego spajania, cuchnęły gaz acetylenowy, dławili zagar koksu, straszły dziwaczne kształty sztab metalowych, wrzście ze ścian zwieszały się upiornie tysiączne nogi i ręce, pasy, podpinki, maski i inne nieopisane przedmioty.

Roilo się tu od ludzi, których mowy w pierwszej chwili nie rozumiał.

Zabłyły mu łzy w oczach, ogarnęła go rozpacz.

Marzył nieraz o fabryce, o możliwości wprowadzenia w czyn swych pomysłów.

Ale nie wyobrażał sobie nigdy, by fabryka była takim piekłem.

Strach go ogarnął nagły. Nie mógł tu pozostać. Za wszelką cenę należało się ratować.

Zrobił „Stellung“ przed pierwszym spotkaniem podoficerem i powiedział:

— Panie wachmistrzu! Melduję się posłuszenie na front!

— Was? Co sem mluwi? Ty zwaryowana offerma! Ty na front?... Nu pojdź sem tadi!

Zaprowadził go w kąt sali, posadził na stołku i dał do ręki jakieś narzędzie, które niezwłocznie ugryzło go w dłoń, jak żmija.

— Aj! — wrzasnął przerażony i chciał rzuścić narzędzie na ziemię, ale wgrzyzło mu się w palce i nie chciało ich puścić.

— Nie tak... nie tak! — krzyczał wachmistrz! Trzyma się za rękojeść, nie za metal! Tam jest elektryka, poparzy cię... verstanden?

W ciągu pierwszych tygodni biedny Protazy przechodził dantejskie męki. Po całych dniach musiał walczyć z narzędziami najdziwaczniejszych kształtów, a w nocy śniły mu się ręce, nogi, czaszki trupie, słowem same okropności.

Pewnego dnia zjawili się we fabryce goście. Liczne grono dam i oficerów oglądało urządzenia pracowni. Oprowadzał ich oficer Polak, którego Kulas bardzo lubił, gdyż mógł się z nim porozumieć po swojemu.

Śliczna, pachnąca, szumiąca jedwabiami blondynka stanęła tuż za Kulasem. Śmiała się wesoło i rozmawiała z towarzyszącym jej oficerem.

Rozmawiali po czesku, ale Kulas osłuchiwał się już trochę tego języka, tak, że rozumiał wszystko.

— Jakie to wszystko niedorzeczne... popatrz pan... Tyle tu rąk, nóg.: Bóg wie czego! Tyle

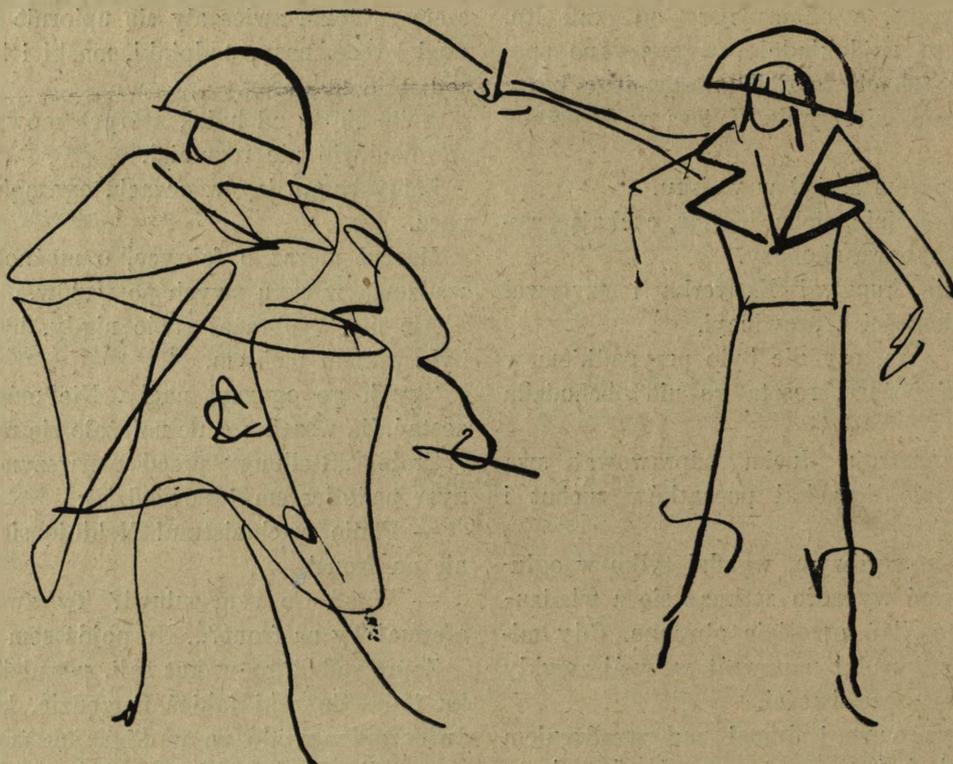
to kosztuje... a przecież przydaje się na niewiele. Najpierw kaleczą ludzi bez namysłu, bez wachania, masami posyłają ich pod kule, potem zaś z największą troskliwością przyprawiają im sztuczne członki w miejsce straconych. Musi z politowaniem spoglądać na człowieka współczesnego każdy, komu zostały wszystkie klepki w głowie... Za jakieś sto lat nikt nie będzie mógł pojąć głupoty Europejczyka z XX. w.

— Trudno proszę pani... — odparł oficer... — nie nasza wina, są widać jakieś wyższe wyroki.

— Wyższe wyroki... Głupota ludzka powołuje się zawsze na „wyższe wyroki“. Dawniej mordowano dlatego, że ktoś miał inne przekonania religijne, dzisiaj dlatego, że ktoś jest innej narodowości...

— No, nie tylko dlatego...

— Oczywiście... jeszcze dlatego, że stał angielska konkuruje ze stałą z Przybramu... wojna ekonomiczna... znamy się na tem, ale poco mordować ludzi? Obrzydliwe i głupie! Ale wie pan co? Mam pomysł! Pyszny pomysł! Można-



ST. WYSPIAŃSKI

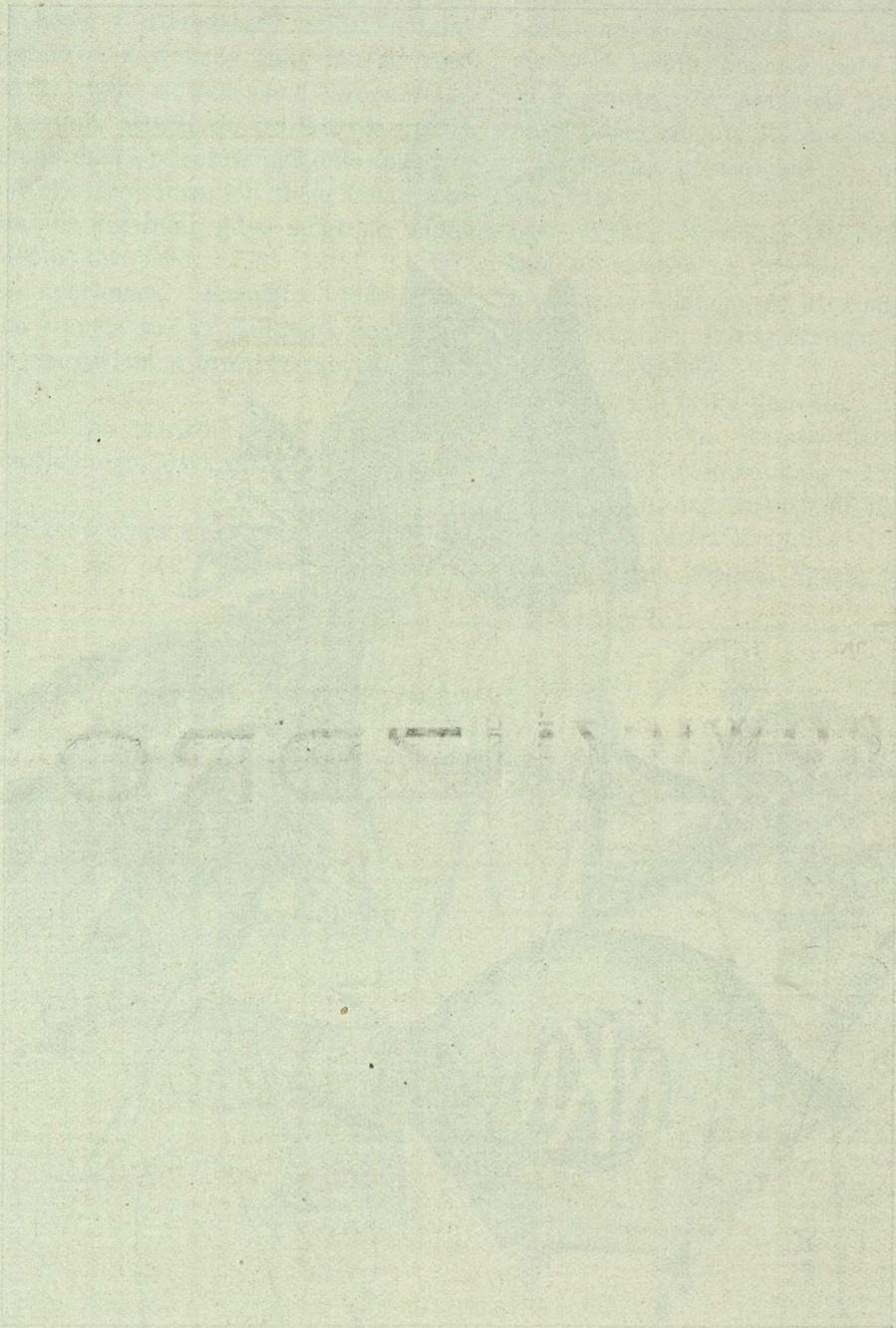
SYLWETKI HISTORYCZNE: ADMIRAŁ NEY.

(Ze zbiorów Włodzimierza Żuławskiego).



K. SICHULSKI

W. L. JAWORSKI.



1870

1870

by zrobić sztucznych żołnierzy. Wie pan, żołnierzy metalowych, nieśmiertelnych!

— Szalony pomysł!

— Szalony? Dlaczegoż? Czyż auto, nie jest to sztuczny koń? A armata! Czyż nie jest to sztuczna ręka człowieka, rzucającego kamień?

— Genialne myśli!

— Szkoda, że nie jestem mężczyzną, technikiem! Zarazbym się do tego wzięła.

— Wybornie! Niech się pani zgłosi do ministra wojny! Sława pewna!

— A przytem — trzepała dalej blondynka — wojsko, złożone z takich żołnierzy, posiadałoby prócz nieśmiertelności jeszcze inne zalety. Nie poddawałoby się, nie uciekało, słuchałoby ślepo rozkazów, nie fraternizowałoby się z rewolucją, nie badało prawomocności swego rządu, nie tworzyło rad żołnierskich...

— Nie byłoby symulantów... — dodał oficer, rozbawiony pomysłem. — Nie trzebaby załatwiać milionów próśb o zwolnienie, niktby nie prosił o urlop...

— Co za oszczędność ubrania, trzewików, materiału wojennego...

— Nie trzebaby wcale piekarni, ani armat gulaszowych, kas pułkowych...

— Klęska dla wielu... wielu...

— Nie piliby, nie żądali tytoniu, dodatków do żołdu... Jedną tylko straszną wadę mieliby tacy żołnierze... ogromną wadę...

— Jakże to... Ach, wiem już wiem! — zawołała.

— Naturalnie! Nie braliby w niewolę serc niewieścich. Ot widzi pani... ta straszna wada przeważa wszystkie zalety. Przepadłby kult uniformu, kult bohaterstwa i pryczek, kult siły i głupstwa z nią najściślej skojarzonego.

— Prawda! Prawda! — potwierdziła. — To straszna wada! A więc rzucam ten pomysł. Niech przepada żołnierz sztuczny, a niech żyje żywy, choćby Bóg wie jaki kulas.

Śmiali się długo, potem zaś odeszli.

Protazy nie stracił ani słowa. Wszystko, co usłyszał, utkwilo w nim głęboko i nie mógł już odpędzić myśli o sztucznym żołnierzu.

Tejsamej nocy miał dziwny sen.

Znalazł się pośród pola bitwy. Wokół leżeli zabici. Panowała cisza i martwota. Nagle podniósł się ze ziemi człowiek i skierował się

wprost tam, gdzie stał Protazy. Był to bardzo dziwny żołnierz. Nie miał na sobie munduru, a ciało jego było zupełnie przezroczyste, tak że Protazy mógł nawskróś przez idącego widzieć pole i drzewa. Zdumiony, zaczął mu się baczniej przyglądać i zrozumiał wreszcie, że żołnierz ten zrobiony jest z cienkich sztabek metalowych. Jego ręce i nogi poruszały się w łożyskach posuwkowych, bardzo misternie obmyślanych, i stanowiły spoisty, a niezmiernie rozgałęziony system dźwigni. W miejscu łożadka posiadał małą dynamo, wprawiającą w ruch ów system. Funkcyonowała równo z cichym jękiem, podobnym do jęku dalekiego aeroplanu. Głowa żołnierza posiadała sprężynowy zawias na karku, tak, że spadała wstecz po trafnym strzale i wracała znowu na swoje miejsce. W cienkich pazurkach rąk-protezy niósł ów żołnierz mały, ale niezmiernie precyzyjny karabin maszynowy. Pas nabojęw do tego karabina umieszczony w klatce piersiowej rozwijał się automatycznie. Sztuczny żołnierz włókł u każdej nogi drut przewodu elektrycznego. Druty te sunęły po polu i ginęły w dali.

Po chwili spostrzegł Protazy, że sztuczny żołnierz nie był sam tylko jeden na polu walki. Chodził on, pochylał się ku ziemi i dotykał poległych.

I oto z ziemi zrytej pociskami zaczęli wstać jeden za drugim, żołnierze i ustawiali się w rzędy.

Wszyscy byli jednej miary, a przez ich ciała prześwieblała dal krajobrazu.

Niebawem stanęła cała kompania w ordynku.

Jednocześnie zapaliły się na ruchomej głowie każdego maleńkie lampki elektryczne, tak, że zdawało się, iż każdy posiada po jednym błyszczącym kociem oku.

Był to znak dla sztabu, że wszystko w porządku.

Ale nie uszło to widać uwagi nieprzyjaciela. Natychmiast zabłysło w dali światło reflektora, pełzało, przez czas jakiś po polu, wreszcie znalazło dziwacznych żołnierzy i oblało ich jaskrawym blaskiem.

Rzucili się wstecz i rozsypali momentalnie w długą tyralierę. Oczy ich pogasły w tej chwili.

Zagrzmiał wystrzał i wielki pocisk nadleciawszy ze skowytym, padł tuż przed tyralierą, wybijając w ziemi ogromny lej.

Żołnierze rzucili się sznurkiem kilkadziesiąt kroków wprzód. Skoczyli przez powietrze olbrzymim lukiem, jak potworne koniki polne.

Za chwilę rozebrzmiały ich karabiny maszynowe.

Protazy znalazł się nagle w deszczu kul. Świstały wokół niego. Przerażony padł na ziemię. Jednocześnie uczył w dłoni tępy ból.

Zerwał się i usiadł.

Otworzył oczy.

Siedział w łóżku. Dokoła niego chrapali towarzysze różnymi głosami.

Przez okna kasarni zaglądał świt.

Oblizywał zapamiętałe stłuczoną o sztabę łóżka pięść i siedział tak napół rozbudzony. Było szaro wokół, ale Protazemu wydało się, że świeci słońce, jak lipcowe południe, a on kroczy po jednym promieniu, niby szerokim gościńcem ku jakimś wyżynom niedosiężnym. Na prawo i lewo dostrzegł postaci pochylone w niskim ukłonie. Wszystkie dostojne, wykwintnie ubrane. Widział wyraźnie fraki, uniformy, ordery i wstęgi.

Wstępował coraz wyżej, a gdy nagle podniósł głowę, zobaczył rzecz niesłychaną.

Oto na ogromnym worze złota, niby na niezmiernym tronie siedział wśród obłoków kadzielnego dymu czarny, skrzydlaty szatan Mamon.

Oba ramiona wyciągał miłośnie ku biednemu piechurowi i uśmiechał się łaskawie.

Protazy rzucił się z przestachem wstecz.

Naraz rozebrzmiał śpiew chóralny i wspaniała muzyka.

Słów nie rozumiał, wiedział tylko, że każda strofa kończy się refrenem:

— Sława! Sława! Sława!

Od złota bił taki blask, oczy Mamona fascynowały tak przemożnie, refren pieśni brzmiał tak kusząco, że Protazy przemógłszy pierwotny strach, porwał się z łóżka, wyciągnął ramiona i rzucił się w uniesieniu w objęcia księcia piekiel.

Ledwo jednak krok uczynił, potknął się na własnych trzewikach i runął jak długi na sąsiada śpiącego tuż obok.

— Jezus, Marya! — krzyknął przebudzony nagle sąsiad i zerwał się.

— To nic, to nic... — uspokajał go Protazy, wracając do łóżka.

Sąsiad zaklął raz i drugi, poczem zachrapał na nowo.

Ale Protazy zasnąć nie mógł.

Ten sen zdecydował o jego życiu. Od tego dnia poczawszy stał się bardziej jeszcze cichy, zadumany, skupiony w sobie.

Tygodniami nie odezwał się słowem do nikogo. Towarzysze myśleli, że zwaryował.

Ale niebawem spostrzegli, że jest to rodzaj waryacyi nie tylko nieszkodliwy, ale przeciwnie, bardzo nawet dla nich sympatyczny. Protazy bowiem stał się nagle tak niezwykle pilnym, że podejmował pracę innych, śleczął po całych dniach w pracowni, wyrabiał sobie pozwolenia pracowania poza godzinami, i byłby najchętniej nocę spędzał w fabryce.

Wracając do kasarni, przynosił ze sobą całe pliki zagryzmołonego papieru i chował je troskliwie pod poduszkę.

Po kilku tygodniach uzyskał na stałe przydomek waryata, ale wytrwałością doprowadził do tego, że mu dano spokój i pozwolono pracować wedle upodobania. Żołnierz, uprzątający salę modelów, odstąpił mu nawet klucz, pod warunkiem, że obejmie jego funkcyę. Protazy zamiatał salę i radował się, gdyż mógł odtąd pół nocy przepędzać w pracowni.

Razu pewnego, Protazy pracował zapamiętałe, nie bacząc, co się dzieje wkoło niego.

Nagle uczył, że czyjaś dłoń spoczęła ciężko na jego ramieniu.

— Cóż ty tutaj robisz po nocy?

Protazy krzyknął z przerażenia i porwawszy plik papierów, cisnął go pod stół.

Spojrzał na mówiącego i ochłonął nieco.

Ujrzał przed sobą oficera Polaka, dla którego powziął od pierwszego dnia wielką sympatyę.

— Nie bój się! — mówił oficer. — Nie bój się... pan — dodał po chwili. — Przeciwnie proszę mi to pokazać! Słowem ręczę, że nie zdradzę pana...

— To jest... to nic... — bąkał Protazy zmieszany.

Oficer pochylił się, podniósł papiery i zaczął przeglądać.

— Hm... — rzekł po chwili. — To jest pomysł szalony... poprostu szalony!

— Wcale nie szalony! — zaprzeczył Protazy zadraśnięty w ambicji. — Proszę popatrzeć i posłuchać!

Rozwijał rysunki, objaśniał, szkicował, znosił części modelu, pokryte po różnych kątach przed ciekawością kolegów i przełożonych.

Prześlęczeli obaj nad rysunkami do białego rana.

Nazajutrz Protazy blady, niewyspany, został wezwany do generała.

Poszedł jak skazaniec na szafot, wrócił, jak wraca tryumfator.

Ale chociaż go radość rozpieierała, nie pisał ani słówka i towarzysze napróżno łamali sobie głowę, coby to mogło znaczyć.

Przez całe trzy dni Protazy chodził jak pijany. Nic nie robił, zapominał salutować, laził z kąta w kąt i śmiał się do siebie.

Wreszcie wieczorem trzeciego dnia zajechał pod fabrykę automobil z oficerami.

Wezwano Protazego.

Zabrał swoje manatki, wsiadł, uśmiechnął się jeszcze raz — i tyle go widywano w Gross-Dumm-Dumm.

Na wielkim placu, położonym na peryferii stołecznego miasta, zjawiły się wieczorem pewnego letniego dnia automobile wojskowe. Wysiedli z nich generał i wyżsi oficerowie sztabowi. Ostatni wysiadł Protazy Kulas, przybrany w nowy mundur z odznakami sierżanta. Stał skromnie z boku i czekał.

Po chwili nadjechało kilka samochodów ciężarowych, napełnionych jakimiś przedmiotami, które były starannie osłonięte płachtami.

Wachmistrz prowadzący samochody zameldował się służbowo generałowi, poczem wydał rozkaz wyładowania wozów.

Po krótkim czasie stał na placu szereg dziwnych postaci, podobnych do ludzi. Były to automaty misternie wykonane z cienkich sztabek metalu, poruszane prądem elektrycznym.

W głębi placu mieściła się średnich rozmiarów szopa, a w jej wnętrzu przygotowano wczasu przenośny motor benzynowy, porusza-

jący instalację elektryczną. Poczyniono co należy i niebawem rozpoczęły się ćwiczenia.

Generał wygłaszał słowa komendy, a Protazy manipulował aparatem.

Wszystko szło precyzyjnie.

Za prostym pociśnięciem odpowiedniego guzika, sztuczni żołnierze wykonywali każdy żądany ruch, maszerowali, zwracali się w prawo, w lewo, padali na ziemię, kopali rowy, strzelali.

Generał był w siódmym niebie.

Raz poraz przystępował do Kulasa i ścisnął mu dłoń, jakgdyby nigdy nie był generałem.

Za przykładem zwierzchnika oficerowie wyrażali swe uznanie genialnemu wynalazcy.

— No dobrze! — rzekł generał. — A teraz komenderuję: Feuer einstellen! Auf! Aufschritt! Sturm!

Szereg żołnierzy porwał się z ziemi i sunął przed siebie galopem.

— Prachtvoll!

— Wybornie!

Rozległy się donośne okrzyki i oklaski.

Nagle — szereg stanął, karabiny spadły na ziemię, a wszyscy sztuczni żołnierze podnieśli, jak jeden mąż oba ramiona w górę.

Patrzący oniemieli ze zgrozy.

— Co to jest? — szepnęła zbielełymi wargami generał.

— Co to jest? — powtórzyli inni.

— Panie Kulas... panie Kulas — Was soll das bedeuten? — spytał generał ostro.

Kulas drżał, jak w febrze. Zęby mu szezękały.

— Nie wiem... — bełkotał... — przysięgam, że nie wiem!

— Nie wiem... to nic nie znaczy! Pan musisz wiedzieć... verstanden?

— Panie Kulas! Czyś pan oszalał? — szepnęła mu oficer Polak. Przyciśnijże inny guzik... no, prędko!

Nieszczęsny Protazy pociśnął guzik i nagle... padł zemdłony na ziemię.

Bo oto stała się rzecz niepojęta.

Szereg żołnierzy drgnął, opuścił ręce, ruszył naprzód biegiem i rozłamał się na kilka części.

Każdy żołnierz gnał w innym kierunku, zrywając przewody elektryczne.

Pędzili jak szaleni, jeden w prawo, drugi w lewo, najwidoczniej dając nura z pola ćwiczeń. Za chwilę znikli wszyscy gdzieś na widnokręgu.

Generał blady jak ściana, zwrócił się do Kurlasa, ale widząc, że leży bez ducha, spojrzął po oficerach.

— Was kann das bedeuten? — spytał.

Jeden ze sztabowców, szykownie ubrany, z monoklem w oku odkrzyknął i rzekł:

— Aby wyświetlić sprawę, należałoby zbudować, kto robił automaty i gdzie były robione...

— Z jakiego materiału... — dodał drugi.

— Aha! — potwierdził generał. — Z jakiego materiału... Tak, tak, moi panowie, cała rzecz w tym, z jakiego materiału...

— Przeważnie z czeskiej stali, ze stalowni w Przybramie... — objaśnił inny oficer...

— Z czeskiej stali? Co pan mówisz? Tak, tak... zaczynam rozumieć... to widać już leży w naturze materiału... ano trudno... trudno...: Armer Junge! — dodał, pochylając się nad zemdlnym Protazym. — Weźcież go panowie, trzeba go odwieźć do miasta... Tak, tak, to już leży w materiale...



TADEUSZ SZANTRÓCH.

CMENTARZ-SAD.

*Wioskowy cmentarz przy kościele
w zacisznej gąszczy sadu skryty...
zarosło groby bujne ziele,
zataił mech nagrobne płyty.*

*W cieniu i ciszy śpią umarli,
nad nimi drzew owocnych wonie...
do ziemi wiecznym snem przywarli,
a ziemia sadu czary chłonie.*

*Gdy nad cmentarzem w słońcu potem
w rumieńcach dojdą już owoce,
pomalowane krwią i złotem, —*

*i w najciemniejszą nikt tu noce
nie przyjdzie rwać ich, — wiatr je strzęsie,
ziemia je strawi kęs po kęsie.*

W polu.

MINIONE LATA.

*Minione lata: w mgłę splekany
krajobraz drzew bezlistnych już,
opuszczonego domu ściany,
deszcz mży, w mgłę woń powiędłych róż.*

*I niby jakiś głos daleki,
wołanie skądś, z niewidnych pól
i szum płynącej mrokiem rzeki*

te w oczach łzy, ten w piersiach ból.





P R Z E G L A Ń D

PROJEKT AKADEMII LITERACKIEJ W POLSCE.

(Stefan Żeromski: Projekt Akademii Literatury
Polskiej. Warszawa 1918.)

Gdy samolot na odmianę toczy się po ziemi, zwykle pojazdy przypatrują mu się zapewne z wielkiem zaciekawieniem i sympatją, jakgdyby wędrownka przyziemna stała się naraz sztuką trudniejszą. Takie wrażenie wywierała żywa dyskusja, wywołana niedawno przez uwagi Żeromskiego o przyszłości literatury polskiej (w zbiorce szkiców i rozpraw p. t. „Sen o szpadzie i sen o chlebie“). Taka też dyskusja powinna się rozwinąć nad jego projektem akademii literackiej w Polsce. Nie jest on wznowieniem dawniejszego projektu W. Grubińskiego, by w Polsce założyć rodzaj akademii Goncourtów. Nie o wynagradzanie gotowej już i sytej siebie twórczości tutaj chodzi, nie o stworzenie Olimpku polskiego, lecz o zrzeszenie się wszystkich pracowników literackich „do obrony od nacisku niedoli zewnętrznej“. Znaczyłyby to głównie: od niedoli materialnej; lecz rozwijając swój program, autor omawia najszerzej zadania kulturalne przyszłej Akademii Literackiej (tak chyba lepiej, by uchylić nieporozumienie, nazwałby należało tę instytucję, która przecież nie zajmuje się specjalnie literaturą, jako nauką. Tylko na końcu potrafa autor o zadania materialne, gdy stwierdza, że „należy dążyć do wyemancypowania twórczości literackiej z pod władzy i dyktatury księgarzy, nakładców, spółek wydawniczych i przygodnych mecenasów“). Nie doradza jednak zamieniać Akademię na towarzystwo wydawnicze; miałyby ona za to dawać impulsy, zwłaszcza w zakresie przekładów, normować honoraria autorskie (najmniej $\frac{1}{4}$ lub $\frac{1}{3}$ ceny od książki), czuwać nad

wykazami ilości egzemplarzy drukowanych dzieł itd. Autor wierzy, że niezadługo Akademia posiadać własny gmach, bibliotekę, archiwum, wdrożyć budowę teatru i muzeum literatury polskiej.

Minął czas, kiedy literat chciał za pomocą systemu bloków duchowych dźwigać bryłę świata i pchać ją na nowe tory; wybuch wulkanu zepsuł te wszystkie instrumenty, i teraz przypadło zaczynać czyn od siebie. Dla literatów jest niewątpliwe, że teraz organizować się powinni, nie gwołi mody, lecz poprostu dlatego, że w okresie wszelkiego rodzaju syndykatów, trustów, spółek, na które się zanosi po wojnie, literaci będą musieli zorganizować się również jako grupa zawodowa, by uchronić swoje interesy jako wytwórcy i spożywczy. W tym kierunku już rok temu rzucił myśl P. Stanisław Lam w broszurze „Organizacya pracy literackiej“ (Lwów 1917, Księgarnia akademicka). Przebrzmiała ona wówczas, jak się zdaje bez echa, a dziś przedstawia się jakby uzupełnienie inicjatywy Żeromskiego. P. Lam proponuje założyć Centralę literacką, któraby pośredniczyła w interesach między wytwórcami literackimi a księgarzami, redakcjami i teatrami, dostarczała literatom potrzebnych materiałów, kontrolowała ruch księgarski, tępiła korsarstwo literackie itd. Centrala dzieli się na sekcje: pomocy literackiej, dziennikarstwa, wydawnictw oddzielnych, teatru, spraw finansowych, przedsiębiorstw własnych. Centrala czuwa nad dobrobytem całego stanu literackiego, przez: ubezpieczenie kapitału, udzielanie emerytur i jednorazowych subwencji. Od każdego honorarium, któreby przepływało przez Centralę, opłacałoby pewien procent i autor i nabywca, z tego automatycznie ubezpieczenia urasta po latach np. trzydziestu spora emerytura dla literata, który ma swoje konto w Centrali; nadto opłacałoby obie strony mały pro-

cent na cele ogólne. Oczywiście Centrala nie tamowałaby wcale interesów zawieranych bezpośrednio między autorami a wydawcami. Fundusze operowałyby się także na przedsiębiorstwach własnych, może akcyjnych, jak drukarni, księgarni sortymentowej, wypożyczalni książek itd. P. Lam w cennej pracy swojej podaje dość dokładny plan takiej Centrali, czy jak się na jednym miejscu wyraża „rzeczypospolitej literackiej“. Pomysł ten nazwałem powyżej uzupełnieniem pomysłu Żeromskiego; poniekąd pozostają one jednak w kontraście do siebie, gdyż Żeromski nie wierzy w kupieckie i zapewne wogóle finansowe zdolności literatów, podczas gdy Lam punkt ciężkości swego pomysłu mocno przesuwa w tę stronę. Wbrew powszechnej opinii zresztą praktyka powiada, że literaci niezgorzej pilnują swoich interesów, a z żadnej psychologii nie wynika, żeby talent artystyczny wykluczał zmysł interesu. Wypadki, któreby świadczyły o takim rzekomo zasadniczym niedołęstwie, należy położyć raczej na karb ogólnej indolencji społeczeństwa, i zaiste nie więcej jest niedołęgow wśród literatów, jak wśród innych gatunków człowieka.

Osobliwie w Polsce literaci skrupowani są w swoich interesach nadzwyczaj niskim poziomem czytelnictwa. Jeszcze gorzej ma się rzecz z kupowaniem książek. Polak nie ma pasji do książek. Tylko tam może prosperować księgarstwo i stan piśmienniczy, gdzie konsumenci książek kupują więcej, niż przeczytać zdołają. Książkę kupuje się bowiem nie tylko na to, żeby ją przeczytać, lecz żeby ją mieć u siebie, mieć możność zajrzenia do niej w każdej chwili, posmakowania w każdym miejscu, chociażby uspokojenia się, że w niej nie ma. Kupując książkę, kupuje się pewnego rodzaju rozkosz potencjonalną, kupuje się akumulatory pewnych energii, które się niekoniecznie zaraz wyładować musi. Na tem polega zbyt książek w innych krajach, podczas gdy nasi ludzie mówią szczerze, że czytać nie mają czasu. Nie mamy statystyki naszego czytelnictwa, ani statystyki popytu na książki. Ostatnią powinnyby prowadzić księgarze, lecz wątpię, żeby to czynili, gdyż metody naszych księgarzy są przestarzałe. Świadczy o tem ich wielka niechęć do wydawnictw popularnych, tanich; najłatwiej im jest bić niewielką liczbę egzemplarzy i nałożyć wysokie ceny, tak żeby już przy sprzedaży paruset odbić koszta i zarobić. To jest zaiste działanie według zasady najmniejszego oporu. Nie wiem, czy księgarze będą kiedy mieli organizację wspólną, mającą jeszcze inny cel prócz doraźnego powiększenia zysków, ale jeżeli chodzi o poprawę głównej podstawy bytu literatów, to jest konsumpcji książek, to przysłał Akademia czy Centrala literacka, powinnyby się zająć nietylko tem, co radzi p. Lam: kontrolą ruchu księgarskiego,*^{*)} lecz niejako polityką litera-

eko-pedagogiczną, najprzód w tym sensie, żeby wychować w kraju chłonność na rzeczy literackie. Wyobrażam sobie, że podany przez Żeromskiego plan zasilenia rynku księgarskiego wielkim zbiorem wyborowych a tanich przekładów, już byłby częścią takiej polityki. Akademia już przez jedno takie wielkie przedsiębiorstwo stałaby się regulatorem podaży i popytu, powołałaby szersze koła czytelników do korzystania ze strawy lepszej i przez to zniżyłaby ceny książek pochodzących z wytwórczości rodzimej, z pewnością później z korzyścią materialną i moralną dla wytwórców. Dzieła n. p. klasyków polskich są jeszcze dziś tak drogie, że nie mogą się stać dostatecznie popularnymi, a kto zna język francuski czy niemiecki, za cenę wiele tańszą dostanie dzieła również cenne. Słowackiego dzieł pośmiertnych do niedawna wogóle nigdzie nie można było dostać. Biblioteka Kaczurby, biblioteka Mrówki zostały wyczerpane, biblioteczka Zuckerkandla zaśmiecona; pięknie pracuje biblioteka Westa. Lecz nie chcę się wdawać w szczegóły, co do których kto inny będzie kompetentniejszym. Idzie o rozbudzenie w publiczności polskiej głodu książek, o rozkrzewienie wśród niej zdrowego snobizmu, ambicyi, że się to a to czytało, a to i owo ma się nawet w swojej bibliotece. Nawiasem: księgarnie powinnyby posiadać własnych wędrownych nauczycieli tej ambicyi, kolportujących, deklamujących, budzących ciekawość choćby dla plotkarskiej strony literatury.

Taka polityka, na dłuższą metę obliczona, wymaga współdziałania wielu czynników. A więc prasy, głównie zaś tego całego aparatu, którym będą rozporządzały ministerstwa sztuki i oświaty. Wprawdzie Żeromski powiada, że literatura jako sztuka najbardziej czynna i zmienna „nie może należeć do sekcji jakiegoś przyszłego ministerium sztuki w wolnej Polsce“. To prawda, czyli już samo powstanie takiego ministerstwa nietylko nie uwolni społeczności literackiej od troski o losy swoje i losy literatury, lecz owszem wymagać będzie powstania Akademii czy Centrali, jako samorządnej emanacji owego społeczeństwa, z którąby można wprost porozumiewać się i działać.

Powtarzam powyżej jeszcze ciągle: Akademia czy Centrala, jakkolwiek pod temi obiema nazwami kryje się alternatywa, jaki charakter ma mieć

^{)} Pomysły wydawnicze naszych księgarzy są zwykle ślepe naśladownictwem obcych i często opierają się na zupełnie błędnej, szablonowej a natrętnej ocenie konjunktury i zapotrzebowania u publiczności. Jak dorywcze są nieraz te wydawnictwa, świadczy np. fakt, że w r. 1912, wyszły równocześnie dwa przekłady dzieła Mengera: „Prawo ludu“.

przyszła instytucja; powiem otwarcie: arystokratyczny czy też czysto organizacyjny, zawodowy.

Napomyka Żeromski (str. 53), że należałoby urządzić głosowanie, kogoby „osoby istotnie pracujące na polu literackim“ (a więc cenzus ściślejszy) uważały za „najgodniejszego“ do zajęcia miejsca w pierwszym zarządzie Akademii, a w dopisku u dołu oświadcza, że sam nie marzy o takim „zaszczyście“. Obawiam się czy mylnie tego nie rozumiem — ale widzę tu jeszcze zabląkaną reminiscencję akademii Goncourtów. Członkowie pierwszego zarządu Akademii mogą być skądinąd nieśmiertelnymi, lecz nie będą takowymi mianowani czy wybrani; ich funkcje będą nie tyle zaszczytem, co pracą, i to taką, że można się obawiać, czy z racji tej właśnie a nie innej nie zabraknie kandydatów. Za czysto dekoracyjny wreszcie i szkodliwy uważam projekt nazwania tego ciała Akademią imienia Miriama. Miriam jest osobistością sporną, do której nie wszyscy mają sentyment; prócz tego firma jego nadałaby całej instytucji charakter muzealny, który nie licowałby z jej zadaniami jako stróża Sztuki „wciąż stającej się, zawsze nowej“.

Powyżej już, omawiając zadania materialne Akademii musiałem sięgnąć do zadań kulturalnych. Teraz wrócę do nich, posługując się programem autora projektu; przytem może także z innej strony padnie światło na wspomnianą przezemnie politykę literacko-pedagogiczną, która w wielu wypadkach właśnie zgodnie z intencjami autora byłaby antypolityczną.

(Dok. nast.).

KAROL IRZYKOWSKI.

AND. PRONASZKO PROJEKT MOZAJKI CERKIEWNEJ

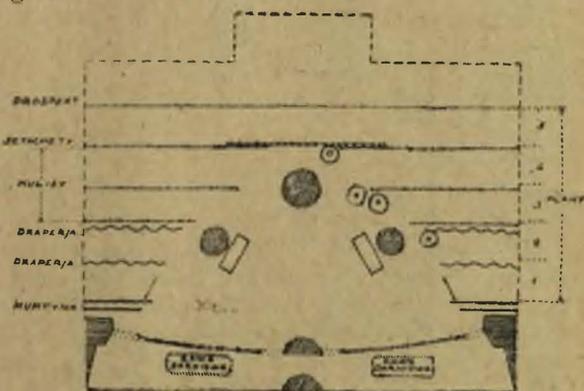
Z ZAGADNIENŃ TEATRU.

(„TARCIA I SPRZECIWIY“)

(Dokoń.).

Budowa terenu w Panu Jowialskim była następująca: „proscenium, mające wyobrażać przednią część ogrodu“, łączyło się z pierwszym planem sceny (właściwym proscenium) czterema ścieżkami, jeżeli wążutkie przejścia koło łóż i budki suflerskiej ścieżkami nazwać można. Niski żywopłot, kryjący sceniczną rampę świetlną, oddzielał „przednią część ogrodu“ od pierwszego planu. Na nim stały dwie ławki symetrycznie rozmieszczone, tuż za ławkami klomby. Na środkowym planie w środku sceny klomb. Prawą stronę sceny (od widzów) zapępniały ule. W dalszych planach (II, III) wyjście za kuliszy, wyobrażające drzewa. Głęb sceny zajmowały sztachety (plan IV) i panoramicznie malowany prospekt (plan V), przedstawiający dwór, podjazd, klomby i zabudowania folwarczne.

Rzut poziomy i pionowy tego terenu lepiej wyjaśnią jeszcze linie architektoniczne staropolskiego ogrodu.



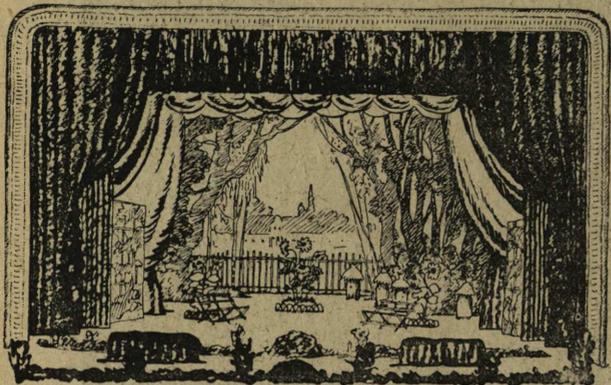
Rzut poziomy

IV i V plan wcale nie był użytkowany. Panoramicznie malowany prospekt oczywiście do ruchu

sytuacji się nie nadawał i z liniami figuralnymi nie łączył. Plan IV, plastyczne sztachety nie były wykorzystane: nikt przez nie nie wchodził¹⁾.

Dla ruchu figur i sytuacji pozostawały tedy za ledwie trzy pierwsze plany, do jakich linie sytuacyjne były ograniczone.

Zacznijmy od prologu, który się odbywał na proscenium. Na nim kazał reżyser działać i mówić figurom prologu.



Rzut pionowy

Ruch sytuacji siłą rzeczy był ograniczony terenem, przedstawiającym wązki, podłużny pasek, notabene zastawiony dość dużymi ławkami. Z tego samego powodu ruch figur nie miał swobody. W skutku — linie sytuacyjne były minimalne, przy równoczesnym olbrzymim ich natężeniu. Zwłaszcza silnie i grubo rysowały się linie grupy Szambelanowej i Janusza. Teren ten w rzucie pionowym przedstawiał się płytko, zamykały go bowiem draperye i oddzielały od głębi ogrodu. A ponieważ dynamika sceny pierwszej musiała być żywa, tempo szybkie, co razem winno się łączyć z dużą swobodą ruchu figur i swobodą linii sytuacyjnych, więc jedno drugiemu szkodziło.

Scena między Ludmirem i Wiktorem, mówiona właściwie na widowni, brzmiała za głośno; a przekomarzenie się dwóch młodzieńców na nosie widzów sprawiało, w ruchu i liniach, wrażenie dwóch popisujących się na estradzie gimnastyków.

To samo ze sceną drugą: Szambelanowej i Janusza.

Przeciskali się oni (bo nie wychodzili) wąską ścieżką pod łóżkami na wyznaczony przez reżysera teren, siedli na ławce, powiedzieli to, co mieli do powiedzenia, zobaczyli Ludmira, którego nie mogli od razu nie zauważyć, ile-że leżał na tej samej linii sytuacyjnej, na jakiej oni siedzieli, i zeszli ścieżką koło budki suflerskiej, w ruchu, w jakim np. pan i pani schodzą z estrady. Na inny

¹⁾ Wszak „zawadyacka junakierya artystów-cyganów, Ludmira i Wiktora“ usprawiedliwiałaby dostanie się ich do ogrodu pp. Jow. przez płot (sztachety).

ruch figur, odpowiedni osnowie komedyi, charakterowi figur — teren nie pozwalał.

Inscenizator do spółki z reżyserem dorobili pantominę-intermedjum. Pantomina miała połączyć prolog z pozostałą częścią komedyi. W takim wypadku reżyser łącznie tę winien zaznaczyć jakąś serją linii sytuacyjnych, które zaczynałyby się na proscenium i przeszły na teren dalszej akcji. Tymczasem łącznie zaznaczył reżyser cieniutką linią, którą przeciągnął Ludmir, przechodząc z proscenium na scenę bez żadnego zresztą uzasadnienia. Wszak Janusz pozostawił go śpiącego pod drzewem (pardon! pod darniową ławką), a znalazł w zupełnie innym miejscu, gdzie pantominie może było wygodnie, ale sensowi djabło niewyraźnie. Dopiero na scenie zaczęły się rozwijać linie sytuacyjne pantminy.

Mówić co o tej pantominie? E, lepiej nie. Krótko rzecz można: w komedyi fredrowskiej była tak potrzebna, jak proscenium.

Przejdźmy do dalszych pomysłów reżyserskich. Nie wiadomo, kto większą krzywdę wyrządził postaci tytułowej: inscenizator czy reżyser.

Czy inscenizator, który figurę 70-cio letniego staruszka, polskiego pana i głowę domu wpakował na cały dzień do ogrodu — czy reżyser, który przez błąd inscenizatora zatuszował z kretelem dynamikę roli i ruchy, już nie tylko jednej ale dwóch figur: obojga pp. Jowialskich! ruchy figur i ruchy sytuacji.

Para staruszków, która powinna stanowić punkt koncentracyjny dla wszystkich linii sytuacyjnych i figuralnych — stała prawie poza ich nawiasem!! Powinna być osią, jak tego wymagała obyczajowość komedyi, a rozprószyła się na cienkie linijki o minimalnym natężeniu.

Figura Jowialskiego, opowiadająca bajeczki, które dynamicznie powinny być wyprowadzane, jak wyjścia solowe instrumentu w zespole orkiestralnym — gubiła się w ogólnej dynamice, a linie sytuacyjne i figuralne równały ją z liniami figury starego sługi.

Państwa Jowialskich w „Panu Jowialskim“ właściwie nie było.

To już nie błąd reżyserski, to — grzech!!

„P. Jowialski to komedya“, — przytacza prof. Chrzanowski zdanie Chmielowskiego — „w której albo jakiś znamieny szczegół obyczajowy, albo wybitne rysy charakteru lub wreszcie rodzaj kolizyi, wskazują wyraźnie, że mamy do czynienia z Polakami pewnej doby dziejowej“; od siebie zaś prof. Chrzanowski dodaje, że „polskość z P. Jowialskiego bije silną łuną dzięki postaci naczelnej, która jest typem niezrównanym jowialności staropolskiej“.

Więc naczelnego typu komedyi nie wolno reżyserowi z naczelnego miejsca usuwać; nie wolno zatracać strony obyczajowej komedyi i nie wolno gasić silnej łuny polskości! A polskość przebija się w polskich obyczajach, które nakazywały starszych

czcić i szanować, oddawać im zawsze i wszędzie pierwsze miejsce, choćby byli zdzieciniałymi starszuchami z komedyi.

Przy takim zlekceważeniu naczelnej postaci, zatraceniu jej charakteru, cóż z komedyi zostało? Swywolna żartobliwość, karykatura, raczej groteska, jako dominująca barwa i jako cel. A karykatura u Fredry celem nie jest.

Celem Fredry, jak i w innych jego komedjach, są charaktery, obyczajowość, pokazane w karykaturze. To wielka różnica!

Reżyser cele autora znać powinien na wylot, przeczuć je i w zasadniczych barwach z utworu wydobyć.

Jakimi do tego posługuje się środkami — mówiliśmy.

„Pan Jowialski“ jest *par excellence* komedią charakterów i obyczajowości. Fredro zaraz na początku sztuki każe Ludmirowi wykrzyknąć: „ho, ho, tu są charaktery!“

Jak te charaktery pokażemy, czy trzymając się uświęconych zwyczajów tradycji lub nie — obojętne. Byliśmy pokazali charaktery.

Strona obyczajowa w tekście mniej wyraźnie jest zaznaczona. Ale od czegoż reżyser?! Jeśli nie chce jej wydobyć, to niech jej nie zatraci!

Reżyser wyrządził tej stronie niedźwiedzią przysługę. Między innymi, wprowadzając „barwny tłum ucieśnych komparsów“*) w obrazie przebudzenia się przebranego Ludmira.

Obiecywał sobie po tej scenie „najistotniejszą rewelację“. Tak, to była rewelacja: służba dworska najniższego autoramentu, biorąca udział w zabawie szlachty polskiej w r. pańskim 1830! czyż to nie rewelacja? Kuchty i kuchciki, zamiast gotować obiad, ryczą od śmiechu z kogo? — ze swoich chlebobawców, szlacheiców, posesyonatów! Bo nie z Ludmira, który w tym wypadku był figurą przygodną, był pretekstem. A komedię grała rodzina pp. Jowialskich. Podrwiwał sobie z nich Ludmir, ale służba-by nie śmiała.

Naprawdę, gdyby tak na tem przedstawieniu był jaki cudzoziemiec w rodzaju Stanisławskiego, Craiga lub Reinhardta i gdyby mu powiedziano, że to jest komedia polska r. 1830 — jakże fałszywego pojęcia nabrałby o stronie obyczajowej w Polsce, o stosunku służby do państwa? Sądziłby, że dawni Polacy, dla zabawy, gotowi byli poświęcić godność i stanowisko społeczne, a służba, zamiast pracować, bawiła się na równi z nimi.

Albo zareżyserowanie sceny kłótni Janusza z Ludmirem (sc. 12. A. III.) też było pewnego rodzaju rewelacją.

Niedawne to czasy, kiedy szlacheć na dwóch

*) Według adnotacji reżyserskich na tłum ten składali się: „kucharz, kuchcik, kuchciczek, ekonom, pastuch, dziewczki, klucznicza“, którzy, notabene, w chwili, gdy Ludmir wyrzucał ich chlebobawców za drzwi, mieli się „cofać w panice“ (?!).

wioskach za nic miał każdego artystę. Jeżeli się z nim raczył witać, to mu dwa palce podawał, uważając go za coś o wiele niższego od siebie: W komedyi Zalewskiego „Przed ślubem“ (1875 r.) mamy scenę, w której szlacheć Klapkiewicz z oburzeniem odrzuca propozycję zaproszenia na swój bal zaręczynowy malarza. „Jakto, malarz na balu?!“ — powiada — na którym on będzie! W głowie szlacheć z lat 70-ych nie mogło się pomieścić.

Cóż dopiero w r. 1830! Jak wtedy szlachta patrzyła na malarzy, jak ich traktowała?!

We wspomnianej scenie z P. Jowialskiego widzieliśmy, jak „deputat honorowy z epoki Sasów“ robił koguta zacierzwionego — oczywiście według wskazówki reżyserskiej — wobec kogo? wobec malarza, włóczęgi i awanturnika, za jakiego miał Wiktor, który był godny żartu pańskiego, pogardliwego traktowania (obyczajowość), ale nigdy uniesienia, jakie w ruchu sytuacyjnym i figuralnym wyraziło się w przyskakiwaniu koguciem dwóch figur do siebie. To było śmieszne dla współczesnego widza — dla dawnej obyczajowości i charakteru figur zabójcze.

Gdyby Janusz zdecydował się podejść tak blisko do Wiktora, toby nie wytrzymał, chwycił za kark przybłądę i wyrzucił za drzwi (charakter). Wiktor zaś z pewnością przedtem jeszcze wziąłby się do bitki. Ponieważ scena odbywała się w ogrodzie, więc zamiast za drzwi, byłby Janusz pchnął natręta gdzieś w krzaki i skórę mu po cichu bez hałasu wyolił. Oczywiście dynamika na ciche załatwienie sprawy nie pozwala — musi być krzyk, który sprawdza domowników. I tylko w krzyku Janusz powinien zdradzać swoją złość, ale ruchy jego figury w tym momencie powinny być godne pana, co ma rozum i wieś. Sytuacyjnie dwie te figury powinny być oddalone od siebie.

O wiele wyższego komizmu nabrałaby ta scena, gdyby Janusz, który chodził niespokojnie tam i sam, po pierwszych słownych utarczkach z Wiktorem — przestał chodzić; stanął, zachowując pozór spokoju, w natężeniu dźwiękowem tekstu zdradzał wzburzenie, złość i gniew, a młody zapaleniec skakał-by koło niego jak piesek mały koło brytana, łącząc wysokie napięcie głosu z gwałtownością ruchów figury i bezładnymi liniami sytuacyjnymi. Byłaby wtedy zgodność z obyczajami i charakterami.

Wogóle charakterom i obyczajowości nie poświęciło się w tej komedyi.

Fredro niezmiernie skrupulatnie opisuje charakter każdej postaci. W prologu, jeszcze nie patrząc na postać komedyi, widzimy je w wyobraźni, dokładnie narysowane przez Szambelanową.

Taka naprzykład Helena „trochę sawantka, trochę pocieszna wykwintnisia“, jak ją trafnie określa prof. Chrzanowski. „Ni do dziadzia ni do ojca nie podobna. Dobre dziecko, lecz ma swoją wolę i uporek, przy tem główka trochę romansami i poezjami zawrócona“. Po takim przygotowaniu spodziewa-

my się ujrzeć ją z książką w ręku, romansownie przechyloną główką, marzącą o tem, gdy będzie mogła powiedzieć duszą ukochanemu: „jestem twoją. twoją na zawsze“.

Tymczasem pierwsze jej ukazanie się burzy delikatną tkanę naszej wyobraźni, bo reżyser każe Helenie wchodzić... z konewką do podlewania kwiatków.

Naprzód o 10-tej rano kwiatków na wsi nie podlewają, lecz o wiele wcześniej — to raz; potem takich kwiatków, jakie były w klombach na scenie, też się nie podlewa, to dwa; a trzy — romansowa panna pracą realną nie zajmowała się, zostawiając to służbie, ogrodnikom. Ona tylko wahała kwiatki; ale tutaj nie mogła, bo słoneczniki i maki nie pachną.

Znowu inscenizator popsuł sprawę reżyserowi, reżyser aktorze i — współczesny trzeźwy widz nabiera przekonania, że macocha pasierbicę obgadała, bo to nie romansowa, lecz pracowita, trzeźwa panienka.

Dawniej, według tradycyi i autora, scena ta, która rozpoczyna właściwą komedię przedstawiałaby się mniej więcej tak:

Po podniesieniu zasłony Helena sama siedzi lub stoi z główką opartą o framugę okna, zapatrzona w ogród; albo: bezradnie opuściwszy ręce, spogląda na drzwi, wiodące do pokoju dziadków, jakby tam szukać chciała rady i pomocy. W każdym razie ukazuje się w bezruchu, milczy i po chwili cichutkim głosem powtarza: „trzy dni do namyślenia — trzy dni do namyślenia!“ Cisza wkoło... ptaszki tylko w ogrodzie śpiewają..

W nowej koncepcyi reżyserskiej było inaczej. Helena wchodziła: zamiast bezruchu — ruch. Zamiast ciszy — „sentymentalnie rzewna ballada“, grana przez orkiestrę gdzieś w oddali, jak gdyby rzecz działa się w miejscowości kąpielowej. Na tle muzyki balladowej ukazuje się Helena... z konewką w ręku. Tableau.

Oto jak reżyser zaznaczył charakter Heleny i oto co się zrobiło ze strony obyczajowej.

W takim mniej więcej guście i sensie ukazała nam się z wielkim nakładem pracy i sumienności (to trzeba przyznać) robota reżyserska w Panu Jowialskim.

Widoczne były usiłowania do wydobycia najdrobniejszych szczegółów, cóż, kiedy „pomysł był kapitalny, lecz dzień feralny“. Dzień, w którym zrodził się pomysł.

Drobiazg. Ludmir - romantyk, o którym Chrzanowski mówi „nie jest on już typem, lecz postacią indywidualną; to przecie już nie tylko młodzieniec, obdarzony energią życia i inteligencją, naturą prostą i szczerą, ale nadto literat i poeta — poeta nie wo-

góle, ale, mający swe indywidualne upodobania oraz swój konkretny program literacki“. Dodać do tego trzeba, że Ludmir jest synem gen. Tuza.

Jaki on powinien być w ruchach? — stanowczo wykwiłtny, rasowy. Jaki w sposobie mówienia? — szlachetny, miejscami trochę patetyczny. Jak ubrany? — skromnie w spencerku, ale schludnie i zgrabnie. Co na sobie i przy sobie? — tłumoczek na plecach, kij w ręku.

I teraz drobiazg: Ludmir miał na szyi lunetę, którą dość niezgrabnie rozpatrywał okolice. Poeta, romantyk zachwyca się naturą bez pomocy lunety. Więc poco była ta luneta? — dla groteski, przypuszczam. Ludmir zaś figurą groteskową być nie może i nie jest.

Kończę.

„Pan Jowialski“ to nie farsa, nie żart sceniczny — tylko komedia i to komedia „charakteru“ i „obyczaju“.

Stała się krzywdą autorowi Pana Jowialskiego, z którego inscenizacya i reżyserya zrobiła groteskową farsę i stała się krzywdą... „Polakom z krwi i kości“, których zmuszono patrzeć pod takim kątem na arcydzieło Fredry.

Mojem zdaniem, należało stworzyć tło dekoracyjne, na którym charakterystyka figur i strona obyczajowa komedyi najlepiej-by się uwydatniły. Tło, na którym naczelną postacią komedyi zablysnęła-by łuną polskości i jowialności, a takim tłem może być tylko wnętrze starego polskiego domu.

Charaktery wymagają najlepiej charakteryzujących figury kostyumów, i charakterystycznych ruchów. Obyczajowość odpowiednich linii sytuacyjnych. A całość — chwilami swywolnego, żartobliwego, chwilami poetycznego dźwięku, w tempie żywym, dynamicie nie zbyt hałaśliwej, a według tych wskazań normowane zasadnicze barwy i tony: poezya, pogoda, spokój i polskość dałaby trzeźwemu widzowi chwilę prawdziwego i pięknego zapomnienia o troskach obecnego życia.

„Złem, naruszającym istotę dramatycznego utworu“ — powiada współczesny reformator teatru Karol Appia — „jest inscenizacya, nie stojąca w związku z autorem, bo rozbija jednolitość jego pomysłu. Wszystko z autora czerpać, żadnych dodatków inscenizacyjnych nie dorabiać. Inscenizacya autorska jest takim samym środkiem wypowiedzania się, jak słowo. I jak do tekstu, stworzonego przez autora, nie wolno dodawać słowa, tak nie wolno nic dodawać do inscenizacyi. Szanujcie słowo autora“.

Zwłaszcza jeżeli autorem tym jest Aleksander Fredro.

LEONARD BOŃCZA.

alic. 312/500.

OD ADMINISTRACYI „MASEK”.

Nakładem „Masek” ukaże się I i II serya karykatur K. Sichulskiego. Będą to barwne zdjęcia, obejmujące w każdej seryi po 8 kart pocztowych.

Prenumeratorom „Masek” przy wcześniejszem zamówieniu serye powyższe prześlemy z 30% opustem tak, że dwie powyższe serye (16 kart) zamiast K 5.20 dla prenumeratorów kosztować będą z przesyłką pocztową K 4.—

Zamawiać można, dołączając K 4.— do prenumeraty rocznej, półrocznej czy kwartalnej, na razie 2 serye karykatur, które są pod prasą.

Ukazanie się późniejszych seryi zapowie administracja.

Z powodu trudności technicznych, niezależnych od wydawnictwa, reprodukcje kartkowe I i II seryi karykatur K. Sichulskiego ukażą się ze znacznem opóźnieniem. Po ich otrzymaniu administr. „Masek” natychmiast prześle P. T. Prenumeratorom, którzy powyższe serye zamówili.

Poszukiwany tłumacz z norwęskiego dla spolszczenia powieści Hansa Jaegera p. t. „Syk kjaerlihet”. Reflektujący zechcą zwrócić się z podaniem warunków do p. Sydora Twerdochliba, Żółkiew, poste restante.

B. FUROWICZ SKŁAD APARATÓW I PRZYBORÓW FOTOGRAFICZNYCH



KRAKÓW
UL. SŁAWKOWSKA L. 3
(HOTEL SASKI)

POLECA:

NAJNOWSZE APARATY, PRZYBORY,
KLISZE, PAPIERY I CHEMIKALIA.

TOWAR Z PIERWSZORZĘDNYCH FABRYK.

CENY FABRYCZNE.

PRACOWNIA PRZY SKŁADZIE PRZYJMUJE WSZELKIE ROBOTY AMATORSKIE.

ZDRÓJ

dwutygodnik ilustrowany,
poświęcony sztuce
i kulturze umysłowej.

wychodzi w Poznaniu 1. i 15. każdego
miesiąca pod redakcją i artystycznym
kierownictwem Jerzego Hulewicza —
nakładem Spółki wydawniczej „Ostoja”.

Adres redakcyi i administracyi:

„ZDRÓJ”, „OSTOJA”,
Poznań, plac Wilhelmowski 17.

Redakcyja i administracyja na Austro-Węgry:
Prof. J. Geszwind, Wiedeń. Hauptstrasse 147.

Abonament: roczny . . . 64 kor.
 półroczny . 32 „
 „ kwartalny . 17 „

Ogłoszenia: Cała strona 180 koron, pół
strony 110 koron, ćwierć strony 60 koron,
jedna ósma strony 35 koron.

„KULTURA POLSKI“

Z początkiem r. 1918 będzie wychodziła jako tygodnik,
-- poświęcony całokształtowi sprawy polskiej. --

„KULTURA POLSKI“ ma omawiać i oświetlać ze stanowiska niepodległościowego i demokratycznego polską politykę państwową w jak najszerszym zakresie; rozwój form życia narodu zarówno w dziedzinie politycznej, jak i społeczno-gospodarczej oraz kulturalnej; objawy dążeń emancypacyjnych warstw ludowych i kwestye narodowościowe; zagadnienia samorządu i współdzielczości, oświaty i wychowania, wreszcie armii narodowej itp. W tym celu „Kultura Polski“ zapewniła sobie współpracownictwo wybitnych sił politycznych i naukowych.

„Kultura Polski“ wychodzić będzie w Krakowie od stycznia 1918 r. w objętości 16 str. 8^o.
Warunki prenumeraty: rocznie 20 K, półrocznie 11 K, kwartalnie 6 K. Numer pojed. 60 hal.
Adres Redakcyi i Administracyi: KRAKÓW, UL. FLORYAŃSKA L. 53, I. P.

MASKI

uzyskały debity na War-
szawę i Królestwo Polskie.
Główne zastępstwo objęła

Księgarnia Hoesicka

Warszawa, ul. Senatorska 22. Tel. 1068.

KSIĘGARNIA A. CYBULSKIEGO

W POZNANIU

OBJĘŁA NA W. KS. POZNAŃSKIE
GŁÓWNE ZASTĘPSTWO SPRZE-
DAŻY CZASOPISMA „MASEK“.

DROGUERYA I PERFUMERYA J. WILKOSZA

KRAKÓW

UL. KARMELICKA L. 14
TELEFON 532.

POLECA:

MATERYAŁY APTECZNE,
OPATRUNKI, MYDŁA,
PERFUMERYE, KOSMETYKI,
ARTYKUŁY GOSPODARCZE.

WYSYŁKI NA PROWINCYĘ ODWROTNIE



Każda pani niech czyta
moje bardzo zajmujące
wskazówki o
nowoczesnem
pielęgnowaniu
biustu

Wypróbowana rada na wypadek osłabienia
i braku pełnego biustu! Proszę pisać z zaufa-
niem do IDY KRAUSE, Preszбург, (Węgry)
Schanzstrasse 2, Abt. 66. — Nic nie kosztuje.